ARCHIWUM
Mirosława
Dereckiego

Mirosław Derecki

ŚRODOWISKO LUBELSKIE (19) WŚRÓD PLASTYKÓW

„Struktury” były dzieckiem Jerzego Ludwińskiego, ale nie mogłyby się narodzić, gdyby nie uprzednia działalność Koła Młodych Plastyków - wspieranego wiedzą i radą przez wykładowcę doktryn artystycznych na KUL, Jacka Woźniakowskiego - gdyby nie poczynania Klubu Młodej Inteligencji. Grupy „Zamek”, oraz fakt skupienia się wokół nich kręgu ludzi zainteresowanych, choć niekoniecznie związanych bezpośrednio z uprawianiem sztuki. Nie byłoby wreszcie „Struktur”, gdyby nie życzliwy stosunek do takiego pomysłu ze strony ówczesnego kierownictwa „Kameny”.

Po warszawskim sukcesie - wiosną 1957 r. - Grupy „Zamek”, zaczęło być w kraju głośno o młodym lubelskim środowisku plastycznym, o Borowskim, Dzieduszyckim, Durakiewiczu, Komendeckim, Kiwerskim, Zwolińskim - „Sadleju”, Ziemskim... Nakręcono nawet o „Zamku” krótkometrażowy film dokumentalny; jego autorem był operator Polskiej Kroniki Filmowej, często odwiedzający Lublin i zadomowiony w klubie przy Krakowskim Przedmieściu 32 - Ryszard Wróblewski.

Ludwiński zamieszkał w Warszawie; zaczął tom wyrastać na coraz bardziej znanego krytyka i teoretyka sztuki. Cieszył się sympatią Henryka Stażewskiego, Mariana Bogusza, szczególnie zaś - Janusza Boguckiego, z którym współpracował w redagowanym przez Boguckiego „Życiu Literackim” - autonomicznym dziale „Plastyka”. Wówczas to wszedł także w kontakt z awangardowym środowiskiem plastycznym Krakowa. Stał się, nie wiadomo kiedy, postacią - nie tylko cenioną, ale i „modną”, redaktorzy pism kulturalnych dobijali się, żeby pisał dla nich artkuły i recenzje, zapraszano go na prelekcje, odczyty...

Trudno byłoby określić jednoznacznie, jakie miał pióro - właściwie realizował się głownie w dyskusjach, rozmowach i wypowiedziach na temat sztuki. Był urodzonym propagatorem i animatorem poczynań artystycznych. Miał dar przekonywania ludzi, pobudzania twórczej inwencji oraz przedstawiania w atrakcyjny sposób swojego punktu widzenia. A przy tym był przystojny - szczupły, dobrze ostrzyżony: zwykle - w dobrze leżącym, „konwencjonalnym” szarym garniturze, co stanowiło dodatkowy atut. Wyróżniał się

na tle młodej malarsko-krytycznej społeczności, noszącej się malowniczo i niekonwencjonalnie na sposób bywalców artystycznych piwnic Saint-Germain.

Wydaje się, że właśnie w okresie współpracy z Januszem Boguckim zaczęło w Ludwińskim narastać pragnienie stworzenia podobnego jak „Plastyka", periodyku; Lublin najbardziej nadawał się do realizacji takiego zamierzenia, z „Kameną" i Grupą „Zamek" - nie byli to już zresztą „amatorzy": większość członków grupy została w ciągu ostatnich dwóch lat przyjęta, lub czekała na rychłe przyjęcie, do ZPAP.

Jurek przyjechał do Lublina wczesną wiosna 1959 r., a już 15 maja w podwójnym, 8-9 numerze „Kameny" ukazał się pierwszy numer „działu plastycznego", zwieńczonego dużą, rzucającą się w oczy winietą - „STRUKTURY". Winietę zaprojektował Włodzio Borowski. Wkładka miała cztery kolumny. W otwierającej numer nocie, jej redaktor pisał: „Oddając do druku pierwszy numer „Struktur" - działu plastycznego „Kameny" - mamy nadzieję, że będą one towarzyszyły narodzinom nowego ośrodka plastyki, jakim może niedługo stać się Lublin. […] Będziemy starali się propagować sztukę nowoczesną w całej skomplikowanej różnorodności jej zjawisk, nie ograniczając się do popierania żadnej z panujących tendencji […] Doskonale pamiętamy o precedensie, jaki stworzył Janusz Bogucki, który od dwóch lat z powodzeniem redaguje „Plastykę". „Struktury", opierając się na doświadczeniach swej krakowskiej prekursorki, maja ambicje nie być jej kopią. […]

Numer otwierał obszerny artykuł Aleksandra Wojciechowskiego - „Polskie malarstwo figuratywne młodego pokolenia", Wiesław Borowski (nie mylić z Włodzimierzem) pisał „o aktualnych zjawiskach w rzeźbie", Bożena Kowalska o II Ogólnopolskiej Wystawie Grafiki Artystycznej i Rysunku w warszawskiej „Zachęcie". Poza tymi autorami (warszawskimi) zamieszczali artykuły i recenzje młodzi krytycy lubelscy: Janina Stańkówna – o Eugeniuszu Waleszczyńskim, Hanna Ptaszkowska - Impresje na temat wystawy rysunków i szkiców malarskich „Od Młodej Polski do dziś" czynnej w Muzeum Narodowym w Warszawie, Maria May - recenzję z otwartej niedawno w Muzeum Lubelskim wystawy twórczości współczesnych grafików holenderskich. Były poza tym informacje o powstałej na KUL-u grupie plastycznej „Inops" (m. in. – Kieraciński, Strzałkowski, Wzorek) oraz o wystawie w salach lubelskiego BWA - grafiki Podciechowakiego. Sam Ludwiński ograniczył się w tym numerze do napisania artykułu oceniającego przegląd twórczości plastyków-amatorów, zorganizowany przez Lubelski Dom Kultury na Zamku.

„Struktury" ukazywały się regularnie, co miesiąc - do końca stycznia 1960 r. Zdołały sobie w tym pierwszym okresie istnienia zapewnić grono stałych współpracowników; drukowali tutaj autorzy tacy jak: Janusz Bogucki. Oskar Hansen, Aleksander Henisz, Andrzej K. Olszewski, Erna Rosenstein, a z młodszych - Wiesław Borowski, Urszula Czartoryska,

Hanna Ptaszkowska, Mariusz Tchorek i inni. Wykraczały „Struktury” daleko poza wymiar lubelski, stając się w pewnym momencie najbardziej żywo, redagowanym, poświęconym […]- „pismem” ogólnopolskim. Prestiż „Struktur” odnosił jeszcze - prowadzony wspólnie przez Borowskiego, Czartoryska, Ptaszkowską i Ludwińskiego - dział: „Wystawy”, dający krytyczny przegląd najciekawszych osiągnięć plastycznych w kraju. Wreszcie - zdobyły się „Struktury” na pierwszego stałego korespondenta zagranicznego: w numerze l (8) z 31 stycznia 1960 r. ukazał się na ostatniej stronie duży artykuł nadesłany, już z Francji, przez Tytusa Dzieduszyckiego - „Notatki z wystaw paryskich”...

W czasie, kiedy „Struktury” powstawały, a potem nabierały rozpędu, zacząłem pracować przy urządzaniu wnętrza sklepu na RDM-ie, obok mającej wkrótce otworzyć swe podwoje kawiarni „Tip-Top”. Projekt był dziełem Przemka Zwolińskiego, zarazem była to pierwsza jego realizacja „związkowa” - „Sadlej” w połowie czerwca 1959 r. został przyjęty do ZPAP. Przemek wziął również na siebie wykonawstwo, bo to się najlepiej opłacało finansowo; musiał mieć więc pomocnika do wszystkiego. A roboty było mnóstwo. Należało wykonać meble - stojaki i półki na towar, lastrykowe lady dla sprzedawców; ścianę naprzeciw drzwi wejściowych wyłożyć lustrzanymi taflami. Najbardziej jednak efektownym - i pracochłonnym - dziełem w sklepie miała być ogromna mozaika, pokrywająca całą ścianę na prawo od wejścia. Należało wypalić kilka tysięcy różnokolorowych płytek, a później osadzić je na silnej zaprawie cementowej tak, aby powstała niezniszczalna, plastyczna kompozycja abstrakcyjna. „Szef” umiał robić wszystko, znał się na stolarce, murarstwie, kowalstwie, elektrotechnice, lastrykarstwie oraz - oczywiście - na kładzeniu mozaiki. Pod jednym tylko względem był bezradny: nie miał pieca ceramicznego. Dlatego wypalanie zlecił Lucjanowi Wengerkowi. W ten sposób zawarłem znajomość z nieistniejącą już dzisiaj siedzibą pary lubelskich plastyków, Barbary i Lucjana Wengorków, przy ulicy Drobnej.

Mniej więcej w tym miejsca, gdzie obecnie wpada do ronda przy Alei Tysiąclecia przebita przez wzgórza Czechowa asfaltowa wstęga Alei Kompozytorów Polskich, stał wówczas na stromej, gliniastej skarpie długi, piętrowy budynek zwany „szkołą milicyjną”. Mieściła się w nim, jakoby, po wyzwoleniu jakaś szkołą podoficerska MO. Ale w latach pięćdziesiątych mieszkały tam rodziny milicyjne. Na lewo, między „szkołą milicyjną” a kościołem Mariawitów, pięła się od ul. Północnej ostrymi zakosami pod górę, wybrukowana „kocimi łbami” ulica Drobna. Na tyłach milicyjnej siedziby stały przy Drobnej dwa niewielkie parterowe domki połączone drewnianym, przeszklonym pasażem: „hacjenda” Wengorków. Mini-posiadłość, ukryta w ciszy czechowskich wertepów, wśród kolczastych krzaków berberysu i dzikich kęp wybujałych ostów, tak strasznie odległa... a przecież tak bliska centrum miasta. Bo wystarczyło zejść w dolinę, Czechówki i już było gwarne latam

miejskie kąpielisko przy ulicy Lubomelskiej, potem - Wieniawska i zaraz - Krakowskie Przedmieście...

W głębi zarosłego trawą podwórza stał stary, drewniany, poniemiecki barak. To była pracownia Wengorków: obszerne, cieniste pomieszczenie z wielkim szamotowym piecem ceramicznym - „ropniakiem", i z drugim, mniejszym, ogrzewanym elektrycznością.

Połowę upalnego lata 1959 r. przepracowałem na „Wzgórzu Wengorków" oddelegowany przez „Szefa" do pomocy przy wypalaniu mozaiki. Było mi tam dobrze. Tym bardziej, że Lucjan lubił pracować niekonwencjonalnie: to znaczy - albo zwlekał się z łóżka około dziewiątej, snując się następnie sennie do południa po podwórzu i wśród swoich pieców, albo... oświadczał, że nie ma natchnienia. Ta druga ewentualność zapowiadała doskonała zabawę. Bo zaraz potem następowało stwierdzenie, że należałoby trochę poeksperymentować.... Eksperymentował Wengorek najchętniej na ceramicznych broszkach: formował z glinki kaolinowej efektowną broszkę, barwił białą masę specjalnymi farbami, po czym wkładał swoje dzieło w czeluść pieca i włączał prąd. Piec nagrzewał się do temperatury 1300 stopni Celsjusza przez około półtorej godziny. Licznik walił kilowaty, aż się ściana trzęsła; specjalnie zbudowana za barakiem elektryczna podstacja dostawała zadyszki. Potem godzinę trwało wypalanie i godzinę stygł piec. W końcu - następował ostatni akt działalności twórczej: Wengorek wyciągał „tacę", przyglądał się uważnie leżącej na niej broszce... Broszka była pęknięta na dwie części. Lucjan znowu patrzył długo, drapał się w głowę i mówił: „CHOOLERNE ZALEŻNOŚCI !!!" Zaraz potem robiła się pora obiadowa i mogłem już iść do domu.

Czegoś się jednak widocznie przy tej mozaice, najpierw wypalanej, a następnie „kładzionej" w sklepie przy Alejach Racławickich, nauczyłem, bo w listopadzie Wengorkowie zaproponowali mi pracę, jako „fachowcowi", przy układaniu mozaiki na frontonie kina „Cisy" w Nałęczowie. Dawali dniówkę - 100 złotych, plus całodzienne utrzymanie i nocleg. Na owe czasy były to warunki bardzo dobre. Tak więc ułożyłem sobie zajęcia na uczelni, żeby „wykręcić" dziesięć dni wolnych i pojechałem do Nałęczowa.

Tutaj nie było już żadnego „eksperymentowania" ani „braku natchnienia", bo Lucjana pilnował Wengorkowa. Staliśmy od rana do wieczora w cztery osoby „na ścianie" - Barbara, Lucjan, jego brat Jureczek, zwany „księciem Czechówki", i ja.

Efekty naszej pracy można oglądać do dzisiaj; mozaika trzyma się całkiem dobrze, tyle, że przysłoniły ją już dość dokładnie wyrosłe w ciągu ćwierćwiecza bujne modrzewie.

Tamten nałęczowski listopad był mglisty i mroźny. Rano, gdy szliśmy na śniadania do nie istniejącego już dzisiaj „Baru Nad Łączką", skrzypiał pod stopami gruby szron, wieczorem wilgoć kapała wielkimi kroplami z drzew. Jedyną oazą ciepła i światła była stara,

drewniana restauracja „Zdrojowa”, u wejścia do czeluści czarnego, mokrego parku. Jedliśmy spóźniony obiad, jakieś niezmienna kotlety mielone z buraczkami lub marchewką, piliśmy dużo herbaty na rozgrzewkę. W końcu Wengorek się łamał i zamawiał pierwszą ćwiartkę. Potem zamawiał następną.... Robiło się przytulnie, snuł się nad stołem dym papierosowy, przyjemnie szemrał w uszach szczek talerzy w bufecie i pijackie rozmowy przy sąsiednich stolikach. Nie zważaliśmy na Barbarę, która piorunowała wzrokiem męża, wskazując wymownym gestem na portfel. Potem - do domu. Do prywatnego hoteliku ze śmiesznymi kolumnami – tam, gdzie dzisiaj jest zakład fryzjerski przy ul. 1 Maja. I sam pod pierzynami, we wspólnym, lodowato zimnym pokoju, (bo bez palenia była niższa taryfa, a Wengorek postanowił, że będzie oszczędny). Lucjan z Barbarą w jednym łóżku (znowu – taniej) my z „księciem Czechówki” - na osobnych.

Owe dziesięć dni w Nałęczowie: jeden z przyjemniejszych okresów w moim życiu, czas - kiedy czułem się ARTYSTĄ...

Wróćmy Jednak do Lublina i do „Struktur”. Ósmy numer „Struktur” - ten ze stycznia 1960 r., z paryską korespondencją Tytusa Dzieduszyckiego – był, niestety, ostatnim przed długą, dotąd dla mnie do końca niezrozumiałą, prawie jedenastomiesięczną przerwą. Dopiero w bożonarodzeniowej „Kamenie” z 1960 r. ukazał się numer 2(9). W miesiąc później - numer 1 (10), z datą 31 stycznia 1961 r. W numerze grudniowym debiutowałem i ja w „Strukturach” reportażem o równie długim, co wymownym tytule: „Pan na pewno nie wie, że właśnie Lublin jest stolicą szmiry plastycznej”. Prowadziliśmy wtedy wspólnie z Ludwińskim w LDK młodzieżowy Klub „Zamek” - kontynuujący, w pewnym sensie, tradycje nieistniejącego już Klubu Młodej Inteligencji - a ja od pewnego czasu pisywałem dla „Kameny” reportaże „plastyczne”, m.in. o Teofilu Ociepce i o Nikiforze...

Te dwa numery „Struktur” z przełomu 1960 i 1961 r. to nie było już „dawne”, dynamiczne, pełne treści, awangardowe pismo plastyczne. „Struktury” straciły poprzedni rozmach; w czasie wielomiesięcznej przerwy wielu autorów skierowało się ku innym redakcjom. Szła też w rozsypkę, naturalną koleją rzeczy. Grapa „Zamek” - jej członkowie układali sobie życie na różny sposób, wyjeżdżali z Lublina lub z kraju. W Lublinie pozostali: Borowski, Ziemski, Durakiewicz i Zwoliński: ten ostatni odsunął się zresztą od Grupy, zrażony wewnętrznymi rozgrywkami. (Notabene szereg lat później wyemigrował do Warszawy również Włodzio Borowski).

Upadek „Struktur” nastąpił ostatecznie w końcu 1961 r. W listopadzie ukazał się 11 numer, ale był to już tylko smutny refleks, usiłujący nawiązać do czasów dawnej świetności. Ogłoszona w tym numerze - zaledwie dwustronicowym - ankieta na temat:, „Co sądzi Pan(i)

o wyglądzie miasta Lublina kształtowanym przez architekturę i plastykę? [...] Czy wpływ plastyki na kształtowanie jest dostateczny i jakie czynniki go hamują" - nigdy nie doczekała się odpowiedzi.

„Struktury" skończyły się nie tylko z uwagi na odpływ z Lublina wielu ciekawych ludzi, winę ponoszą za to i niektóre osoby z ówczesnej redakcji „Kameny", coraz mniej chętnym okiem patrzące na fakt, że - jak twierdzili złośliwi - dwutygodnik staje się lubelskim „dodatkiem" do ogólnopolskich „Struktur". A także - miejscowe władze kulturalne, gdy zabrakło Jadwigi Grosman na stanowisku kierownika wojewódzkiego Wydziału Kultury. Niemała też chyba wina samego Jerzego Ludwińskiego - osobowości niecodziennej, ale chimerycznej, nierównej, człowieka nieznoszącego - zresztą, skądinąd, całkiem słusznie - wtłaczania jego działalności w małe, na sposób prowincjonalny rozumiane, normy.

Wkrótce po upadku „Struktur" Ludwiński wyjechał do Wrocławia. Prowadził tam przez szereg lat znaną galerię sztuki nowoczesnej „Pod Moną Lizą" oraz redagował dział plastyczny miesięcznika „Odra".

Tytus Dzieduszycki osiedlił się na stałe w Paryżu. Przez długi czas utrzymywał kontakt z Grupą „Zamek" i doprowadził do zorganizowania wystawy „Zamku" w jednej z paryskich galerii. Mieszkał w skromnym lokalu przy rue Grenelle. Wiodło się Tytusowi marnie, w pierwszym okresie zarabiał na życie wyrabianiem plastykowych breloczków, w których zatapiał owady złowione podczas letnich eskapad nad brzegami Oceanu Atlantyckiego.

Po kilku latach stanął na nogi: zaczął projektować wnętrza, umieszczał w nich swoje dziwne, pulsujące, kolorowe kompozycje z plastyku. To miało popyt - szczególnie w przypadku wielkich lokali rozrywkowych. Ożenił się ze swoją sympatią z Warszawy, absolwentką architektury wnętrz, zdobył mieszkanie w „porządnej" dzielnicy. Urodziło się dziecko, spodziewali się następnego...

W 1973 r., gdy wraz z całą rodziną wracał z wakacji, w jego deesę, kiedy już parkował przed domem, uderzyła wielka ciężarówka TIR. Nikomu nic się nie stało, tylko Tytus doznał lekkich obrażeń głowy, więc zabrano go - na wszelki wypadek - do szpitala na obserwację. A następnego dnia Tytus - wysportowany, silny, pełen życia Tytus – już nie żył. Jakiś wewnętrzny wylew czy coś w tym rodzaju... Zawsze powtarzał, jeszcze za lubelskich czasów, że nie dożyje czterdziestki, a zginie śmiercią gwałtowną. Śmieliśmy się z niego, i on sam się śmiał. Ale nie dożył tych czterdziestu lat. Miał jakieś przeczucia, czy był to tylko zwykły zbieg okoliczności

Czteroletni okres istnienia - najpierw Koła Młodych Plastyków, a następnie - Grupy „Zamek" oraz „Struktur", owe pełne wydarzeń lata 1956-1959, to czas, w którym jak nigdy przedtem ani potem działalność grupy młodych odcisnęła się tak silnie na życiu kulturalnym

Lublina. A dokonania artystyczne Borowskiego, Ziemskiego oraz „Struktury” Ludwińskiego - weszły na trwałe do historii sztuki polskiej.

A co z karnawałowym - wspomnianym w poprzednim odcinku „Środowiska lubelskiego” - Balem Młodej Inteligencji z 1957 r. Oczywiście - odbył się. Ale nie pozostały mi po nim jakieś bardziej wyraźne wspomnienia. Może z wyjątkiem jednego: kiedy bladym, zimowym świtem zamykaliśmy opustoszały po zabawie klub „Nora”, okazało się, że w szatni pozostało jeszcze jedno palto. Wtedy ktoś sobie przypomniał, że w połowie nocy, gdy zabrakło zakąsek, jeden z najsympatyczniejszych plastyków jakich znałem, Lucjan Kieres, oświadczył, że wobec tego on „wyskoczy” do czynnej jeszcze restauracji na dworcu PKP, po „coś ostrego”, I wyskoczył, bez palta, przy dziesięciostopniowym mrozie, o potem o nim wszyscy zapomnieliśmy.

I oto, kiedy teraz wyszliśmy całą gromada na uśpione, puste, otulone świeżo spadłym śniegiem Krakowskie Przedmieście, ujrzeliśmy samotną, drobną postać w ciemnym garniturze, podążająca ku nam zygzakiem od strony Bramy Krakowskiej. Te był Lucio Kieres - z ogromnym, fajansowym półmiskiem, wypełnionym po brzegi porcjami śledzia w śmietanie...

Taki byt finał Balu Młodej Inteligencji W Lublinie.

Pierwodruk: „Kamena”, 1983, nr 25, s. 9.